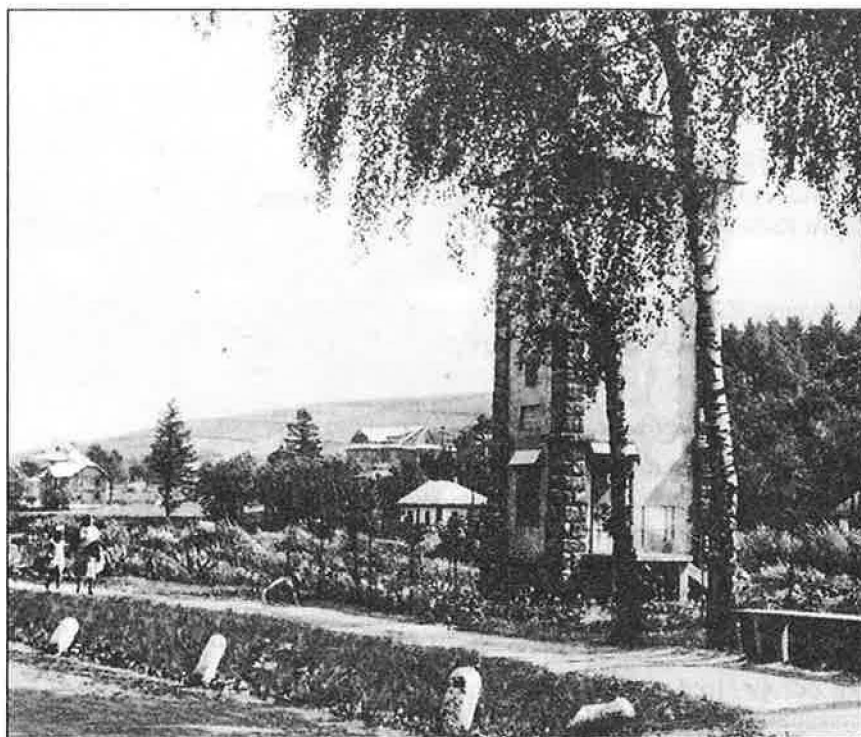


ROCZNIK

RYMANOWA ZDROJU



STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU

1998
TOM III

FOT-ART'94

Jan Tomkiewicz

PODRÓŻ DO PRZESZŁOŚCI

Serdecznie dziękuję gospodarzom spotkania z dr. Ignacym Potockim, Małgosi i Wojtkowi Zagórskim.

Artykuł ten stanowi uzupełnienie wcześniejszego opracowania wspomnień wnuka założycieli uzdrowiska, które ukazało się w I tomie „Rocznika Rymanowa Zdroju” pod tytułem „Krótka podróż do źródeł Rymanowa Zdroju”. Jest on zbiorem luźnych wspomnień dr. Ignacego Potockiego, związanych z jego dzieciństwem, tragicznymi wydarzeniami z okresu II wojny światowej oraz paradoksami początków historii PRL.

Rymanów Zdrój od początków swego istnienia do II wojny światowej zachowywał dobrą kondycję gospodarczą pomimo to, że nękany było pożarami, powodziami oraz nie ominęła go zawierucha I wojny światowej. Rymanów Zdrój miał się dobrze i ciągle się rozwijał. Mało kto wie, że uzdrowisko utrzymywało się nie tylko z kuracjuszy odwiedzających go w sezonie.

„Rymanów Zdrój był uzdrowiskiem, które mogło przetrwać dzięki swojej wielokierunkowej działalności. Uzdrowisko posiadało las, z którego pozyskiwano 2500 metrów sześciennych na rok (w opracowaniu było 3500 m sześciennych, które zmniejszono o tysiąc na ochronę uzdrowiska). Na Wólce była kopalnia ropy, nad kościołem kamieniołom. Wszystko przynosiło jakieś zyski, największe zaś uzdrowisko. Wtedy, gdy frekwencja kuracjuszy nie dopisywała i uzdrowisko osiągało mniejsze dochody, to deficyt w budżecie pokrywano z tych dodatkowych źródeł“.¹

Jednak często w rodzinie właścicieli Rymanowskiego Zdroju panowało przekonanie, że zyski zdrojowego majątku nie są należycie wykorzystywane. Winą za ten stan rzeczy obarczano samą założycielkę kurortu, Annę Potocką.

„Moja babka Anna Potocka po śmierci swego męża Stanisława była uważana przez rodzinę za osobę, która marnotrawi majątek na różne rzeczy, między innymi na założoną przez siebie w rymanowskim dworze szkołę rzeźbiarską dla uzdolnionych dzieci z okolicznych wiosek. Mieszkała ona w takim malutkim folwarczku na początku Wołuszowej. Jej niesamowitą pasją życiową było zielarstwo. W okolicy Wołuszowej po łąkach zbierała lecznicze zioła, a mie-

szkańcy tej wsi niekiedy żartowali, że: ‘Hrabinka sia pasut pid lisom’. Babka utrzymywała dobrosiąsiedzkie stosunki z mieszkańcami całej okolicy. Kiedy zmarła w 1926 roku, to z okolicznych gór na jej pogrzeb zeszyły się tłumy ludzi. Ceremonia odbyła się w dwu obrządkach: rzymskokatolickim i grekokatolickim“.²

Nad wspomnianym wołuszowskim folwarczkiem Anny Potockiej górowała nie istniejąca już dziś drewniana cerkiewka na Wołuszowej. Jedynym wspomnieniem dr. Ignacego Potockiego o wnętrzu wołuszowskiej cerkwi była ikona św. Mikołaja oraz epizod z nią związany.

„Czasem z ojcem, Janem Potockim, jeździliśmy do cerkwi na Wołuszową lub do Deszna. Często przypomina mi się zabawna anegdota. Jednego dnia przyjeżdżamy w niedzielę do cerkwi na Wołuszowej. Jak zwykle po mszy ludzie wychodzą. Na końcu idzie kobieta z maleńkim chłopczykiem. Na jednej ze ścian wymalowany jest taki wspaniały prymityw – św. Mikołaj, Anioł i na końcu diabeł. Kobieta prowadzi tego małego, podnosi go i mówi do niego: ‘Pociumaj Boziu w hwizdok’, a to był oczywiście diabeł ogon“.³

We wspomnieniach dr. Ignacego Potockiego pojawił się ciekawy wątek związany z pobytem w Rymanowie Stanisława Wyspiańskiego – pisarza, poety i malarza.

„Stanisław Wyspiański chodził ubrany podobnie jak Słowacki, poza tym przypominam sobie jedno jego zachowanie, które nie było przyjemne dla otoczenia. Mianowicie, przywiązywał butelkę od piwa, w którą nabierał sobie wodę ze źródła, na sznurku i kręcił wkoło siebie, idąc deptakiem, powodując po-

płoch i oburzenie wśród spacerowiczów. Przypuszczam, że Wyspiański podczas swojego drugiego pobytu w Rymanowie Zdroju, w najtańszym pokoiku w willi Leliwa, namalował na ścianie piękne słoneczniki. W czasie pierwszej wojny światowej w Leliwie został urządzony szpital dla rannych żołnierzy i jak to w szpitalu ściany zostały zamalowane na biało, wraz z nimi słoneczniki, które zostały zupełnie zniszczone“.⁴

II wojna światowa

W miarę spokojne lata egzystencji uzdrowiska przerwała II wojna światowa. Uzdrowisko w momencie wybuchu wojny nie miało żadnych finansowych zaległości, pomimo to, że ostatni sezon nie przyniósł spodziewanych dochodów. Na wieść o zbliżającej się wojnie kuracjusze masowo zaczęli wyjeżdżać z uzdrowiska.

„Zapakowałem żonę i dzieci w dwa chevrolety, ponieważ był rozkaz, że mężczyźni w wieku poborowym mają się usunąć z terenu. Pojechalśmy na wschód. Minęliśmy dokumentnie zbombardowany Przemyśl i w ciężkich warunkach dojechalśmy w pobliżu Lwowa. Na jakiejś rzece był olbrzymi korek. Niemieckie samoloty ostrzeliwały z powietrza. Popłoch straszny. Uciekające wojsko, ludzie, którzy na wózkach dziecięcych wieźli swój dobytek, skończywszy na tych, którzy nie zdążyli zabrać w pośpiechu z domów niczego. Niemcy postępowali do przodu bardzo szybko, ponieważ zaatakowali od strony Słowacji. Przyjechalśmy do Lwowa. Tam zgłosiłem się do wojska, gdzie powiedziano mi, że nawet nie ma na wyposażeniu magazynów pasów do mundurów wojskowych i nic tu po mnie. W ten sam sposób odesłano do domu mojego szwagra, który był oficerem rezerwy. Z całą rodziną pojechalśmy dalej. Dotarliśmy do Podhorzec. Spotkałem tam krewnego, który jechał do Rumunii i namawiał mnie do wspólnej ucieczki. Po radzie z żoną zdecydowaliśmy, że zostajemy w Polsce. Zatrzymaliśmy się u moich krewnych w pięknym pałacu, z przełomu XVI i XVII wieku. W środku były salony, a w jednym z nich rozbity namiot turecki, pod którym dostaliśmy lokum na odpoczynek. Cały pałac wypełniony był uciekinierami. Wieczorem przyjechał dyrektor zakładów azotowych z Tarnowa, który w wielkiej skrzyni wywoził przed Niemcami ruszt platynowy używany w zakładzie jako katalizator. Dyrektor z Tarnowa miał w samochodzie rzecz, która była wtedy rzadkością – radio. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się z rosyjskiej rozgłośni o mobilizacji Rosjan. Nie wiedzieliśmy, że został podpisany pakt Ribbentrop – Mołotow. Komunikat ten kończył się wierszem czytany łamaną polszczyzną: ‘Pójdziem suszyć z karabinem polskie pińskie błota’. Dalej pojechalśmy do Nowomalina, do mego kuzyna. Tam doszło do zbrojnych potyczek polsko – ukraińskich. Polska straż graniczna zastrzeliła kilku sabotażystów ukraińskich.

Polscy żołnierze zamknęli się w swojej strażnicy niedaleko Ostroga w pobliżu granicy rosyjskiej, my zaś byliśmy zdani wyłącznie na samych siebie. W nocy razem z innymi, z bronią w rękę pilnowaliśmy zameczku, w którym zatrzymaliśmy się. W patrolu towarzyszył mi miejscowy gajowy, który brał udział w wojnie polsko – rosyjskiej w dwudziestym roku. Za jakieś dwa dni przyszli Rosjanie. Wkroczyli gdzieś około południa. Najpierw przeleciały samoloty, oddając kilka salw. Później wjechał sprzęt ciężki, czołgi i samochody pancerne. Smród od oleju napędowego był nieprawdopodobny. Wojsko było nędzne, ale zachowywało się poprawnie. Nie rabowało, nie kradło. Żołnierzom groziła sroga kara w razie niepodporządkowania się regulaminowi. Wieczorem przyszli do naszego zameczku i przypatrywali się nam z zaciekawieniem. Rano odwiedzili nas ludzie z NKWD i straż graniczna. Zabrali mego kuzyna – pana domu, który do dnia dzisiejszego nie wrócił i nie wiadomo, co się z nim stało. Z żołnierzami był komisarz komunistyczny, który prowadził tajną komórkę w Ostrogu, był tam handlarzem zwierząt przez dwadzieścia parę lat. Zbadał nasze dowody osobiste. Byliśmy ze strefy zajętej przez Niemców. Powiedział, że jesteśmy uciekinierami, a tacy ich nie interesują. Miejscowych właścicieli ziemskich traktowano jak zbrodniarzy.

Na nasze nieszczęście pojawiły się ulotki: ‘za użycie prywatnego samochodu – kara śmierci’. Było nas trzech, którzy mieli samochody. Oprócz mnie dysponowali nimi jeszcze inżynierowie z Warszawy. Wpadłem na pomysł, że skoro nie można samochodem, to spróbujemy końmi. Poszedłem do stajni dworskiej i tam od mojej kuzynki kupiłem parę koni. Nagle zajechała straż graniczna i starszyna pyta: ‘który to ma broń?’, a mój znajomy Polak gajowy, z którym patrolowaliśmy dwa dni wcześniej okolice zameczku, pokazuje na mnie. Żołnierze sowieccy ciągną mnie pod ścianę. Mówię, że nie mam broni (godzinę wcześniej podarowałem mego mauzera jednemu z inżynierów z Warszawy, który uciekał do Rumunii). Jak znalazłem się pod murem, to ten drugi inżynier zaczął uciekać. Wycelowali karabin maszynowy w niego i zaczęli strzelać, on wpadł w zarośla i za chwilę usłyszeliśmy, jak odjeżdża swoim Fiatem 1500. Później dowiedziałem się, że się uratował. Mnie trzymają pod tą ścianą, przybiega moja żona i krzyczy: ‘jak ginąć, to razem’. Wtedy nadjeżdża chevrolet z komisarzem z Ostroga, który wydaje polecenie: ‘puścić ich, to są bieżący’. Takim sposobem uratowaliśmy się. Później wyjechalśmy. Moja żona z dziećmi pojechała przodem samochodem, nie bacząc na grożącą karę śmierci, doszliśmy do wniosku, że jak zobaczą kobietę z dziećmi, to nic jej nie zrobią. Ja kupionymi końmi jechałem za nimi. Dojechalśmy do Ostroga, gdzie spotkaliśmy nauczycielkę z Klimkówki, która mieszkała tuż koło ratusza. Miasteczko było parterowe, typowo kresowe. Kiedy wypakowywaliśmy bagaże, chłopiec stajenny

uciekł wraz z naszymi końmi. Tuż obok miejsca naszego zakwaterowania w ratuszu rozlokowała się sowiecka straż graniczna. Jedyna pompa wodna znajdowała się tuż koło niego. Z duszą na ramieniu poszedłem z wiadrem po wodę. Kiedy wiadro było już prawie pełne, z megafonu dobiegł mnie głos: 'Dziś rano z naszych rąk uszedł groźny kontrrewolucjonista, wróg ludu, Potocki. Jego pradziadek...' i tu wymieniał hektary, które miał mój pradziadek na Podolu. Wróciłem, zastanawiamy się, co teraz robić. Wieczorem przybiega do nas wychowawczyni naszych dzieci i mówi, że wojsko znalazło nasz samochód i grozi, że jeśli nie znajdzie się jego właściciel, to zabiorą moje- go chlebobdawcę, szwagra, profesora uniwersytetu. Samochód był zarejestrowany na moją żonę. Ubie- ram się niechętnie, żona odwodzi mnie od zamiaru oddania się w ręce Rosjan. Wraz z wychowawczynią idzie odebrać naszego chevroleta. Okazuje się, że było tam trzech żołnierzy, którzy nie potrafili prowadzić samochodu, a chcieli go zarekwirować dla wojska. Moja żona wsiadła za kierownicę, zawiozła ich do koszar. Tam trafiła na miłego oficera, który dowiedziawszy się od niej, że jest sama z dziećmi na uchodźstwie, obiecał zwrot samochodu za trzy dni. Żona kazała się odwieźć przez szofera pod sam dom, tam, gdzie mieszkamy. Słyszę, że mój samochód zajeżdża i myślę, że pewnie to po mnie. Na szczęście weszła żona i opowiedziała, co się stało. Po trzech dniach oficer o dziwo zwrócił samochód. Mój pasierb, jedenastoletni chłopiec wpadł na świetny pomysł. Wyciął z czerwonego płótna małą chorągiewkę (w następnym dniu miała być jakaś sowiecka uroczystość). Wybraliśmy się w podróż. Dojeżdżamy do koszar – stoi warta. Ja jestem przykryty kocem. Cudem udaje się nam przejechać.

Dojechaliśmy do Lwowa. Tam sprzedaliśmy samochód. Następnie przekroczyliśmy granicę i zatrzymywani na różnych stacjach prawie tydzień jechaliśmy do Krakowa. Później wróciliśmy do Rymanowa. Mój dom był zrabowany dokumentnie, dom ojca 'Gołąbek' prawie nietknięty. Ojcu udało się wywieźć całe archiwum do Truskawca i wrócić do Rymanowa. Ojciec zachorował i ja musiałem pertraktować z Niemcami w sprawach związanych z ich zakwaterowaniem, itd.

Dowiedziałem się, że generałem jest Austrijak, który był młodym oficerem we Lwowie, kiedy ojciec był w przymusowym austro – węgierskim wojsku. Jak generał dowiedział się o tym, to łatwiej było się z nim dogadać w różnych kwestiach. Jednocześnie Związek Walki Zbrojnej zwerbował mnie do swojej roboty. Miałem utrzymywać kontakt ze sztabem i informacje przekazywać porucznikowi ZWZ. Od Niemców dowiadywałem się różnych rzeczy. Pewnego dnia pan generał zażyczył sobie pojechać na rykowisko jeleni. Znakomicie znałem okolice Komańczy – tam kiedyś zabiłem olbrzymiego dzika, a w Mikowie dwa dorod-

ne jelenie. W Komańczy były wyjątkowo dobre byki. Okoliczni właściciele lasów byli wściekli, że byki na rykowisko schodziły się właśnie tu. Radziłem Niemcom, abyśmy pojechali samochodami terenowymi. Niestety, zignorowali moją radę. Pod dom podjechał osobowy majbach, drugi długi adler i trzeci ford. Pan generał siadł ze mną na tylnym siedzeniu, z przodu bardzo sympatyczny major, który później zginął pod Monte Cassino. Przejeżdżamy przez Ostawicę, ja widzę, że zbliża się straszna burza. Ostrzegam Niemców, że jak popada w górze, to wracając możemy nie sforsować rzeki. Pojechaliśmy w okolice Duszatyna, podprowadziłem ich pod ryczące jelenia, wszyscy byli bardzo zadowoleni. Wracamy, a Ostawica wzbierała, wody w niej do pasa, Niemcy ryzykują. Prawie do brzegu dojechał tylko o dziwo długi autostradowy adler. Majbach i ford stanęły w nurcie rzeki. Niedaleko od rzeki znaleźliśmy szałas, w którym mieszkał stary Łemko. Po trzech kwadransach sprowadził pomoc i na rano samochody gotowe były do jazdy. Przez prawie całą noc Niemcy dużo ze sobą rozmawiali i wtedy dowiedziałem się od nich o wielu szczegółach dotyczących ich uzbrojenia i o ich dalszych planach. Informacje te były później cennym materiałem dla naszego podziemia.

Pewnego dnia na skutek denuncjacji o posiadaniu broni i radia zostałem zdemaskowany. Gdy pod willę Nagłowice przyjechało gestapo, mnie już nie było, uciekłem. Dostałem się w rejon Puszczy Solskiej, gdzie spędziłem cztery lata. Tam organizowałem różne akcje, między innymi ratowałem francuskich żołnierzy uciekinierów z obozu śmierci w Zwierzyńcu.⁴⁵

Pierwsze lata wolności – początki PRL

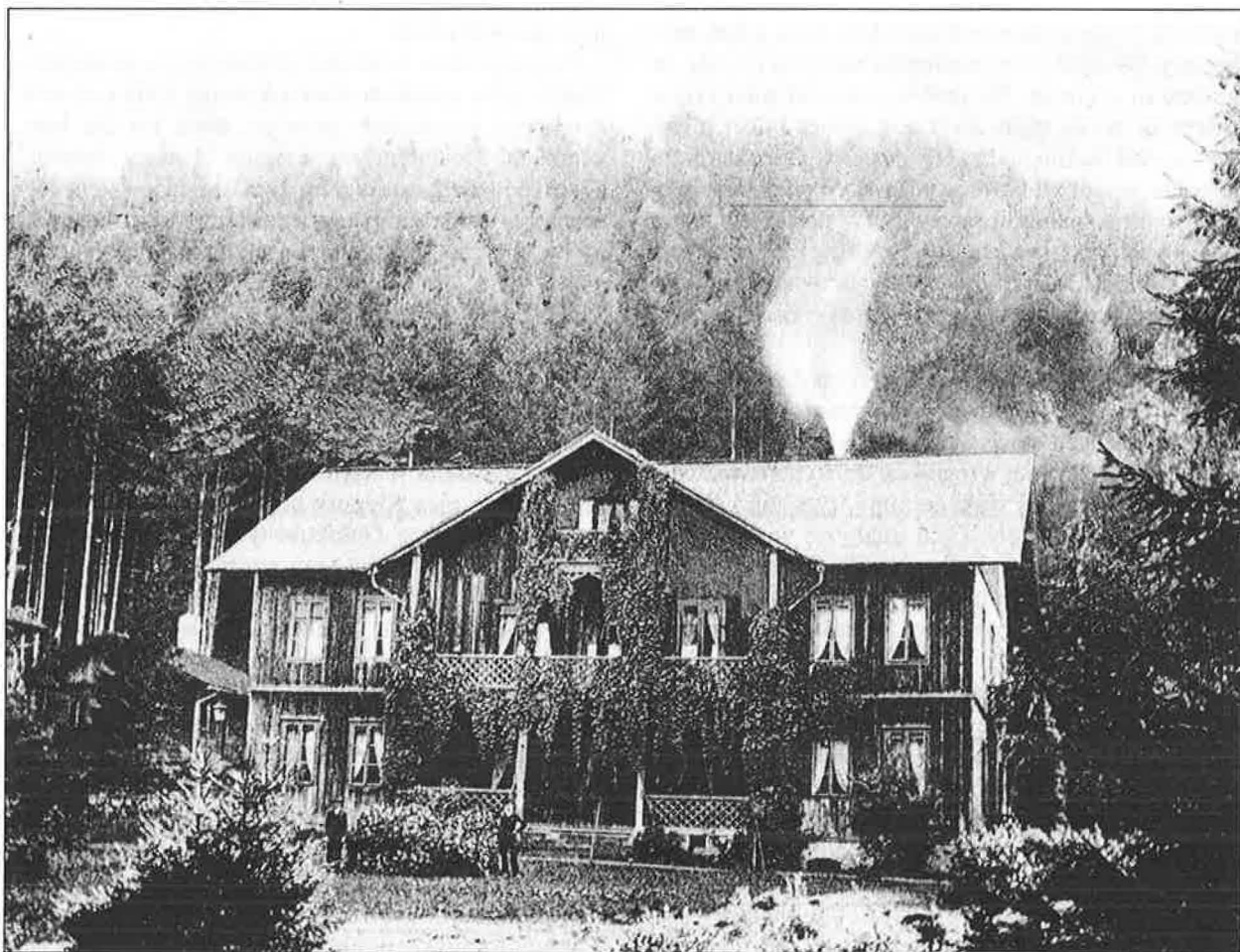
„Po zakończeniu wojny pracowałem najpierw na Dolnym Śląsku, potem awansowałem na dyrektora Uzdrowisk Karpackich w Krynicy. Tam kazano mi podpisać dokument nacjonalizujący wszystkie pensjonaty prywatne w Krynicy, wśród nich były między innymi dom ojca Kiepurcy oraz willa znanego wtedy doktora Jasiewicza. Obiektów tych było 14. Z narażeniem życia odmówiłem tego podpisu, od niego zależało wszystko. Tego samego wieczora zadzwonił do mnie mój przełożony dyrektor z ministerstwa w Warszawie i mówi: 'Co pan zrobił! Minie półtora roku, nim dowiemy się, gdzie pan jest. Niech pan natychmiast wyjedzie z Krynicy'. Moja żona radzi, abym pojechał do Warszawy bronić się. Jeszcze chodziłem do swojego biura w Krynicy, jednak ciągle nasyłano na mnie prowokacje, np. wchodzi milicjant i pyta, jak ja się nazywam (dyrektora naczelnego znali wszyscy, a milicjanci nie idioci). Pojechałem do Warszawy i tam załatwiono mi wizytę u szefa personalnego KC. Ten poinformował mnie, że posiedzę jakieś 7 – 9 lat. Próbowałem się bronić i grzecznie pytam: 'Co by pan zrobił na moim miejscu? Mam przyjaciela, doktora Jasiewicza, Żyda. W Oświęcimiu odcięli mu rękę

podczas eksperymentów. Świetny lekarz. Sto osób z dalszej i bliższej rodziny mu wymordowano, a on wraca do Krynicy. Urząd Bezpieczeństwa zrobił go szefem sanatorium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Krynicy, czyli ma do niego zaufanie. On tą jedną ręką dalej pracuje, ale niestety grozi mu bezwład i tej zdrowej jedynej ręki. Wtedy nawet pod kościół nie pójdzie prosić o pomoc, bo nie jest katolikiem'. Personalny zaczerwieniał i powiedział: 'Pan jest porządny człowiek. Włos panu z głowy nie spadnie, ale w Krynicy już się pan więcej nie pokaże'. Wiedziałem o tym, że los tego człowieka nie będzie mu obojętny. Wtedy przenieśli mnie z dyrektora naczelnego Uzdrawisk Karpackich na stanowisko pomocnika kreślacza w Warszawie w biurze projektów. Jakiś czas później zaproponowano, abym pojechał do Szczawna Zdroju i tam założył instytut balneotechniki na bazie bardzo znanego laboratorium chemicznego, które obsługiwało wschodnią część Rzeszy. W Szczawnie pozostał znany wcześniej chemik dr Wa-

gnier. Był profesorem, ale za karę, że poskarżył się, że Hitler – Jugend robi hałasy w środowisku, odebrano mu tytuł profesora. Człowiek ten był studnią wiedzy z zakresu balneotechniki. To, co on wiedział, to była szkoła nowoczesnej balneotechniki. W Polsce dużo umieliśmy, ale Niemcy znacznie nas przewyższali pod względem wiedzy z tego zakresu. Profesor Wagner robił wszystkie poważne analizy wód mineralnych w Niemczech.

Dobieraliśmy do naszej ekipy fachowców, np. dr Jarocką, świetnego chemika. W naszym instytucie działało około 10 – 12 osób. Ja stworzyłem tam tzw. grupę operacyjną. Mieliśmy samochód terenowy z wielką przyczepą, na to ładowaliśmy motopompę i wszystkie urządzenia do badania źródeł. Jeździliśmy do różnych awarii źródlanych oraz prowadziliśmy badania źródeł. Uzdrawiska wtedy nie dysponowały żadnym sprzętem – wszystko było rozkradzione.

I tak dotarłem z Wagnerem tutaj, do Rymanowa Zdroju. Pamiętam, jak niemiecki profesor odkrył



Rymanów Zdrój. Willa „Zofi“.

w willi 'Pod Gołąbkim' kuchenny kredens. Tam zrobił sobie laboratorium. Objechaliśmy wtedy całą okolicę, gdzie się tylko dało. Nawet dotarliśmy do źródła Królowej Bony w Jurowcach koło Sanoka.

W późniejszych latach do moich poprzednich studiów dorobiłem sobie hydrobiologię na AGH, po latach doktoryzowałem się. Minister Osóbka Morawski przeniósł mnie do Warszawy na stanowisko głównego geologa resortu Zdrowia i Opieki Społecznej. Miałem nadzór nad wszystkimi źródłami. W każdym uzdrowisku utworzyłem stanowisko referenta do spraw źródeł i złóż, na którym zatrudniano osobę, która potrafiła przeprowadzić proste analizy wód mineralnych dla celów profilaktycznych. Najpierw pracownik ten codziennie spisywał wyniki swoich analiz: wydajność źródła, analiza wody, pogoda, ciśnienie barometryczne, opady, itd. To wszystko było przesyłane do Warszawy raz na miesiąc. Dane z 24 uzdrowisk analizowałem z moimi podwładnymi. Jak tylko jakieś źródło 'zachorowało', to wysyłaliśmy tam ekipę fachowców, by je ratować.

Raz przeżyłem zabawną rzecz. Przyjeżdżamy naszą ekipą do Kołobrzegu. Miasto jest w ruinie. Wchodzę na pierwsze piętro zbombardowanych łazienek, patrzę, a tam leżą zasuszone zwłoki oficera niemieckiego z pistoletem. Ówczesny dyrektor uzdrowiska mówi, że do głównego źródła mnie nie dopuści, ponieważ Niemcy wrzucili tam pociski i je zaminowali. Naszym szoferem był typowy warszawski cwaniak, czołgista. Razem z nim wynieśliśmy ze źródła około dwudziestu nie do końca znanych przez nas obiektów i wyczyściliśmy źródła. Wtedy przyszedł milicjant i zrobił nam dziką awanturę, że tylko wojsko może

zajmować się takimi rzeczami. Źródło nazwaliśmy Wincenty Kadłubek.

Kiedy osiągnąłem już wiek emerytalny, prof. Gószczewski przysłał do mnie do biura na Długiej mojego szefa, który oznajmił mi, że bym w żadnym wypadku nie myślał o przejściu na emeryturę, że mogę tak długo pracować na stanowisku, jak mi się tylko podoba. Poza tym byłem przedstawicielem Polski w międzynarodowym Komitecie do spraw uzdrowisk. W międzyczasie po kontroli NIK zdymisjonowali przychylnego mi ministra. Mój szef wezwał mnie do siebie i mówi mi, że NIK stwierdził, że jestem już rok po czasie emerytalnym i powinienem napisać rezygnację. Polecenie wykonałem bezwzględnie i dostałem trzymiesięczne wypowiedzenie. Dwa tygodnie później przyszedł mój szef i przepaszając mnie stwierdził, że muszę odejść natychmiast. Odprawili mnie z szalonymi uprzejmościami jak swojego najbliższego towarzysza partyjnego. W sali konferencyjnej żegnali mnie wielcy dygnitarze. Przemowy, toasty. Na końcu zabrałem głos. Powiedziałem, że dziękuję serdecznie za spotkanie. Dziękuję mojej dyrekcji, która przez 27 lat broniła mnie od wylania z pracy, ponieważ jedni chcieli mnie wylać, inni zaś od tego chronili. Powiedziałem też wtedy, że nie czułem się obco w tym budynku, ponieważ tutaj Konstytucję 3 Maja opracowywał przedstawiciel mojej rodziny, Ignacy Potocki. Obecni bardzo się zdziwili, więc wyjaśniłem, że konstytucję opracowywano tu, u przyjaciela, ponieważ w pałacu Lubomirskich ruch był za duży. Potocki pracował z adwokatami – Francuzami i Włochami. Później ją referował jako Wicemarszałek Sejmu.“

Przypisy

1. Dr I. Potocki, Wspomnienia – na podstawie wywiadu z grudnia 1993 r.
2. Tamże.
3. Tamże.
4. Tamże.
5. Tamże.
6. Tamże.

